Rodzaje ubranek niemowlęcych

Czyli garderoba pędraka dla opornych

Mąż zwierzył mi się ostatnio, że kiedy byłam w ciąży i chciał się nauczyć jak ubrać noworodka i niemowlę, nie mógł znaleźć w całej otchłani internetu ani jednego przystępnie napisanego instruktażu dla mężczyzn – przyszłych tatusiów. Innymi słowy, nikt nie wytłumaczył mu wystarczająco jasno i łopatologicznie co jest czym i czym to się je. Jakie są dokładnie, krok po kroku, rodzaje ubranek niemowlęcych.

Poniżej więc przedstawiam Wam efekt naszej wspólnej burzy mózgów, której efektem ma być jasny i przystępny przewodnik po maleńkich ciuszkach. A więc do dzieła!

Rodzaje ubranek niemowlęcych

Nie ukrywam, że i dla mnie jeszcze w ciąży czarną magią było co jest czym w poniższym zestawieniu i dlaczego właśnie tak się to nazywa. Postaram się więc dość jasno wytłumaczyć zawiłości tej skomplikowanej kwestii.

1. Body z długim lub krótkim rękawem

Dlaczego właśnie tak się nazywa?

Body, czyli z angielskiego ciało, w związku z tym zakrywa korpus, czyli główną część małego ciałka. Proste, prawda? Zakłada się je bezpośrednio właśnie na ciałko. Zapina się je w kroku na dwa lub trzy zatrzaski i tym różni się od koszulki lub kaftanika. Bez paniki, o nich będzie za chwilę.

Na co zwrócić uwagę?

Najlepsze body to takie rozpinane na całości na zatrzaski (czyli tak zwane body kopertowe). Każdy rodzic noworodka wie, że im mniej ubranek wkładanych przez głowę, tym lepiej. Kiedy dostałam takie body w prezencie (o ich istnieniu nie miałam wcześniej pojęcia!) byłam wniebowzięta. Produkuje je na przykład Coccodrillo.

2. Pajac (piżamka)

Dlaczego właśnie tak się nazywa?

Tak samo jak pajacyk, ma dwie ręce i dwie nogi. Tak mi się skojarzył, więc myślę, że to najprostszy sposób zapamiętania nazwy tego ubranka. Może być z zakrytymi lub odkrytymi stópkami, zapinane na zatrzaski lub na suwak.

Na co zwrócić uwagę?

Tutaj również warto zwrócić uwagę na to, aby ubranko rozpinało się na całej długości. Warto wystrzegać się pajaców zakładanych przez głowę i zapinanych tylko w kroku, bo przy malutkim dziecku jest to bardzo niewygodne. Kupując śliczne ubranka bez świadomości ich przydatności nabyłam kilka takich i potem moje dziecko miało je na sobie raz. Przy zapięciu na suwak we wszystkich ubrankach tego typu warto zwrócić uwagę, aby suwak przy szyjce osłonięty był kawałkiem materiału, co chroni malucha przed niepotrzebnymi podrażnieniami.

3. Śpiochy

Dlaczego właśnie tak się nazywają?

Wynalazek typowo polski i odchodzący już powoli do przeszłości. Kiedyś dzieci spały w takich śpiochach i zakładało się pod nie dodatkowo koszulkę lub kaftanik. Brrr. Nic bardziej niewygodnego i utrudniającego życie. Najlepiej ich po prostu nie kupować, bo są bez sensu.

Na co zwrócić uwagę?

Szczerze? Nie wiem, nie lubię, miałam może jedne, użyłam raz zmuszona jakąś ostateczną koniecznością.

4. Kaftaniki i koszulki

Dlaczego właśnie tak się nazywają?

No cóż, moje skojarzenie nie jest zbyt poprawne politycznie, ale bardzo mi pomogło w zapamiętaniu czym do licha jest ten nieszczęsny kaftanik. Skojarzył mi się z kaftanem bezpieczeństwa, ponieważ od koszulki różni się tylko tym, że jest zapinany lub zawiązywany. Pomyślcie o mnie ciepło kiedy kupicie swojemu brzdącowi jakiś ładny kaftanik.

Na co zwrócić uwagę?

Gdybym drugi raz kompletowała wyprawkę, nie kupiłabym ani jednego kaftanika czy koszulki, z tego prostego względu, że dziecku leżącemu, pełzającemu i raczkującemu taka część garderoby będzie się cały czas zawijać i odsłaniać plecy. Niezbyt praktyczne.

5. Spodenki i półśpiochy

Dlaczego właśnie tak się nazywają?

Spodenki to spodenki i nie wymagają tłumaczenia, prawda? Półśpiochy natomiast to śpiochy z odciętą górą, czyli spodenki z zakrytymi stopami.

Na co zwrócić uwagę?

Przy bardzo szczupłym dziecku warto zwrócić uwagę, żeby spodenki miały dość ścisłą gumkę w pasie lub troczki, które nie tylko będą udawały, że są troczkami (tak niestety robią GAP i F&F), ale będą nimi naprawdę (Pinokio, Coccodrillo). Bardzo szczupłe spodenki i legginsy można też dostać w Zarze. Co do półśpiochów, również nie darzę ich zbytnią sympatią, ponieważ są dość niepraktyczne i niewygodne. Ciężko mi nawet

wytłumaczyć dlaczego. Najlepiej kupcie jedną parę i sami sprawdźcie czy Wam odpowiadają.

6. Rampers

Dlaczego właśnie tak się nazywa?

Nazwa pochodzi z języka angielskiego, więc po prostu trzeba ją zapamiętać, nie mam na to rady. Rampers to body ze spodenkami. Ten na grafice powyżej jest z kapturem, ale błagam, nie kupujcie leżącym maluchom ubranek z kapturem, bo są bardzo niewygodne. Nauczcie się na moich błędach.

Na co zwrócić uwagę?

Tutaj znowu skorzystam z okazji i podkreślę potrzebę zwrócenia uwagi na to, żeby ubranko rozpinało się na całej długości. Bez sensu są też takie zapinane z tyłu, unikajcie ich jak ognia (to samo tyczy się również pajaców).

Dodatki i okrycia wierzchnie

Tutaj będzie łatwiej, bo wszystko znamy już z większego lub mniejszego doświadczenia.

7. Czapeczki

Wiązane lub wsuwane, zależnie od tego czy nasz maluch toleruje węzełek pod brodą. Mój tolerował i chwała mu za to, bo jeszcze do niedawna każda jedna czapka zsuwała mu się samoistnie lub z pomocą małych zwinnych rączek.

8. Śliniaki

Warto podzielić śliniaki na dwie grupy, o których istnienia nie miałam pojęcia kompletując wyprawkę. Śliniaki do jedzenia powinny mieć od spodu ceratkę izolującą resztki od ubranka, mogą być również całe ceratkowe lub silikonowe, ze zbiorniczkiem na niesforne resztki u dołu. Druga grupa to natomiast trójkątne bawełniane śliniaki przydatne przy

intensywnym ząbkowaniu, kiedy z buźki leci maluchowi dużo śliny. Chronią ubranko i warto ich mieć co najmniej kilka, bo w takich okresach dość często się je zmienia.

9. Skarpetki

Tu dużej filozofii nie ma. Przy dziecku raczkującym i chodzącym dobrze nabyć takie, które od spodu mają gumki antypoślizgowe. A poza tym *the sky is the limit*.

10. Kurtki i kombinezony

Trzeba uważać z rozmiarem tak, aby dziecko w nich nie tonęło, a jednocześnie żeby dało się jeszcze dołożyć pod spód bluzę lub sweterek. Dodatkowo zaletą będą wszyte rękawiczki. Góra suwaka chroniona kawałkiem materiału. Na jesieni warto również ubrać malucha w ciepły sweterek i grubą kamizelkę – mi bardzo przypadło do gustu takie połączenie

11. Sweterki i bluzy

Bez kapturów – takie są najwygodniejsze. I tutaj również co do pozostałych cech tych ubranek ogranicza nas tylko nasza wyobraźnia.

Jak łączyć te rodzaje ubranek niemowlęcych?

To, co najbardziej przerażało mojego męża, to łączenie poszczególnych elementów garderoby niemowlaka. Poniżej przedstawiam więc kilka możliwych kombinacji na cieplejsze i zimniejsze dni.

W taki sposób ubierałam synka po domu w chłodniejsze dni:

A tak w cieplejsze:

I w jeszcze cieplejsze Tu idealnym zamiennikiem był również rampers.

Tak ubrano mojego synka w szpitalu tuż po urodzeniu (chłodna wiosna). Body i skarpetki idą pod pajaca.

I trochę lżejsza wersja powyższego zestawienia:

Mam nadzieję, że mój przewodnik pokazujący rodzaje ubranek niemowlęcych przyda się opornym tatusiom i głodnym wiedzy mamusiom, kiedy będą poszukiwać informacji o rodzajach ubranek dla noworodka i niemowlaka i sposobach ich łączenia. Ja z przyjemnością odświeżyłam wspomnienia, więc mam nadzieję, że ta wiedza przyda się jak największej rzeszy świeżo upieczonych rodziców.

Przeczytaj też:

Prezenty dla niemowlaka i noworodka

Jedyna prawdziwa wyprawka, o której nikt Ci nie powie

Adaptacja w żłobku – tydzień drugi

Po pierwszym tygodniu w żłobku, który zostawił mnie i Ignasia ze światełkiem w tunelu, ale i mini-nic-nie-znaczącym glutkiem, nastał weekend. Poinhalowałam synka, wszystko pięknie minęło, więc od poniedziałku znów ruszyliśmy do cioć i do dzieci. Nie wiedziałam co mnie czeka, ale nastawiłam się wszelkie możliwe scenariusze, w tym oczywiście najczarniejsze.

Tak jak zapowiedziały mi to w piątek żłobkowe ciocie, w poniedziałek Ignaś został od razu zabrany już w drzwiach szatni, nastał ryk, ale przełknęłam rosnącą w gardle gulę, dzielnie zrobiłam mu „papa" i poszłam. Kiedy wróciłam przed drzemką moje dziecię również powitało mnie rykiem, ale dowiedziałam się, że dzieje się tak nie bez powodu – otóż inne dzieci poszły spać, a on nie, więc poczuł się wykluczony. Co mnie zaskoczyło – Ignaś był w żłobku dość długo i nikt do mnie

nie zadzwonił, nie było żadnej paniki, wszystko odbywało się na spokojnie. Byłam pod wrażeniem jak fachowo opiekunki podeszły do tematu.

We wtorek musiałam pójść na jeden dzień do pracy, ponieważ był to idealny dzień na przejęcie obowiązków, dzięki któremu od poniedziałku ruszę pełną parą. Ignaś siłą rzeczy musiał zostać na drzemkę, więc zapakowałam mu piżamkę, prześcieradło, koc i poszewkę, a dodatkowo dałam mu, w zasadzie jako przytulankę, jego ulubiony domowy kocyk. Po drzemce odebrała go babcia, oczywiście wtulonego w kocyk, co tylko utwierdziło mnie w słuszności tego pomysłu. Od tej pory postanowiłam już codziennie dawać mu w ten sposób namiastkę domu.

Środa była super. Ignaś oczywiście rano jeszcze nie pomachał mi z łatwością na pożegnanie, ale odebrałam dziecko pogodne, a nie, jak wcześniej, rozżalone i rozpłakane na mój widok. Pani na do widzenia powiedziała mi, że jest coraz spokojniejszy, że widać, że potrzebuje przytulenia, ale że ładnie się bawi, że się już śmieje, że ładnie je. A potem przyszedł czwartek.

Zdjęcie zamieszczone przez użytkownika Magdalena Rogala (@motheratorka.pl) *22 Wrz, 2015 o 1:55 PDT*

Kiedy już wiedziałam, że będę miała długi dzień dla siebie, kiedy umówiłam się z koleżanką, kiedy już się ucieszyłam, że wszystko zmierza w dobrym kierunku… Dopadło nas żłobkowe fatum. Pojedyncze odkaszlnięcia nagle zmieniły się w poważny kaszel, pojedyncze pociągnięcia noskiem przybrały formę paskudnego kataru. Nie miałam wyboru, ostatnie dwa dni urlopu musiałam zamienić w opiekę nad dzieckiem, która jednocześnie pomogła mi odczuć pozytywne działanie żłobka! Nagle się okazało, że moje dziecko, nie wyszalawszy się uprzednio z dziećmi i z zabawkami, jest wieczorami znacznie bardziej ruchliwe niż w dni, kiedy miał dużo wrażeń poza domem. I nie powiem, zaskoczył mnie, kiedy na obiad sam kazał się posadzić na krześle, podczas gdy wcześniej biegałam z nim z każdą łyżką po całym mieszkaniu.

Podsumowując: adaptację uważam za zakończoną. Jestem dumna z mojego małego żłobkowicza, że tak dzielnie konfrontuje bez-mamusiną rzeczywistość, a jednocześnie tak wiele się uczy i tak bardzo na tym korzysta. Wiem, że choroby się zdarzą, już to widzę, ale jestem już spokojna, bo żadne z moich największych obaw się nie spełniło, a mój synek pozytywnie mnie zaskoczył. Będzie dobrze!

Przeczytaj też:

Adaptacja w żłobku – tydzień pierwszy

zy rok żłobka – fakty i mity

10 nieoczywistych gadżetów przy noworodku i niemowlaku

Kiedy, jako świeżo upieczona ciężarówka (mówcie co chcecie, lubię to określenie) kompletowałam wyprawkę, nie miałam pojęcia o tym co przyda się mi i mojemu dziecku. Po pierwsze dlatego, że w moim brzuchu mieszkało wtedy moje pierwsze dziecko, a po drugie dlatego, że jeszcze ani tego dziecka, ani jego potrzeb kompletnie nie znałam.

Kiedy dziecko okazało się być całkiem realnym Ignasiem, a ja powoli uczyłam się jego obsługi, czas i doświadczenie pokazały mi co tak naprawdę, z rzeczy zupełnie nieoczywistych, powinno się w tej wyprawce znaleźć. Patrząc na to z perspektywy wspólnie spędzonego półtora roku, stworzyłam listę dziesięciu rzeczy, z których kilka posiadam, inne planuję i żałuję, że nie miałam ich wcześniej, a jeszcze inne na 100% nabędę przy

drugim dziecku. A wtedy i tak pewnie okaże się, że jeszcze nie wszystko mam. Tak czy inaczej, jeżeli macie ochotę skorzystać z moich refleksji, oto one:

1. Czajnik z opcją wyboru temperatury

Wierzcie mi, solidnie naszukałam się dla Was modelu, który miałby temperaturę 40 stopni. Okazuje się, że to wcale nie jest takie oczywiste i nawet mój wymarzony niegdyś Bosch jej nie posiada. W mojej prywatnej kuchni stoi inny, zwykły biedronkowy Hoffen. Nieważne jaki kupicie i ile za niego zapłacicie. Kiedy trzeba będzie na szybko w nocy przygotować mleko, nie zastanawiając się czy temperatura na nadgarstku jest już dobra czy nie, taki czajnik uratuje Wam życie.

2. Ceratowy turystyczny przewijak

Szczerze i bez bicia od razu się przyznaję, że takiego nie mam, ale to tylko dlatego, że o jego istnieniu dowiedziałam się stosunkowo niedawno, podpatrując koleżankę. To było jak objawienie! Do niewielkiego organizera wrzucasz kilka pieluch, kremik na odparzenia i woreczki na brudne pieluchy, wszystko elegancko zawijasz i masz gotowy zestaw do wyjścia! Przewijak jest wyłożony ceratką, więc nie nasiąka czym nie trzeba, a jeśli maluszkowi byłoby zimno w pupę, można na nim rozłożyć flanelkę. I dodatkowy plus: jest niedrogi. Ideał!

3. Kosz na brudne pieluchy

Krążą o nim różne opinie. Że śmieszny gadżet, zbędny wydatek, że po co to. Ja wam powiem po co. Mieszkam w bloku, kontenery mam dość daleko. W regularnym trybie śmieci wyrzucam co drugi, trzeci dzień. W trybie z pieluchami, kiedy dodatkowym

katalizatorem działań jest niezbyt dyskretny smrodek od 10 do 20 pieluszek, które zmienia się niemowlakowi na dobę, musieliśmy biegać czasem nawet dwa razy dziennie. A tak, nieprzyjemny zapach jest izolowany, śmieci posegregowane, czas oszczędzony. Mi to pasuje!

4. Laktator elektryczny

Wśród moich znajomych i rodziny nie znalazł się nikt, kto powiedziałby mi, że laktator elektryczny to nieodzowny gadżet wyprawki i warto go mieć już w szpitalu tuż po porodzie. Więc ja Wam mówię: kupcie właśnie elektryczny, żaden ręczny, szczególnie jeżeli nie macie doświadczenia. Może się okazać, że wasze dziecko ma problemy ze ssaniem, że będziecie musiały

pomóc laktacji, że będziecie potrzebowały ulgi w nawale. Do dzisiaj uważam, że laktator Medela Electric, który moja kochana mama sprezentowała mi na porodówce, był najlepszym prezentem wyprawkowym, jaki mogłam dostać.

5. Bujak elektryczny

Bujaczków miałam dwa (napędzane siłą stopy), plus fotel bujany, moje dziecko ubóstwiało i nadal ubóstwia być bujane. Zresztą nie oszukujmy się, niewiele jest takich dzieci, które, bujane dziewięć miesięcy w brzuszku u mamusi, nie będą lubiły być bujane po drugiej stronie pępowiny. Jeżeli zajdę kiedyś w drugą ciążę, to będzie mój pierwszy zakup dla młodszej pociechy. No i spójrzcie jak wygląda. Jest po prostu ładny.

6. Waga

Wiecie już, że jestem mamą hipotrofika. Ważenie dziecka było dla mnie obsesją, chciałam mieć psychiczny spokój, który zapewniała mi między innymi wiedza, że moje dziecko przybiera ładnie na wadze. Nie wystarczały mi miesięczne kontrole, więc kupiliśmy takie domowe urządzenie. Do dzisiaj nie żałuję tego wyboru.

7. Szumiś

Ignaś był fanatykiem suszarki. Spokojnie jadł tylko przy suszarce, zasypiał przy suszarce, pozwalał mi dospać rano przy suszarce. Korzystałam z klasycznej (prąd! gorąco!) i z takiej w aplikacji w telefonie. O Whisbearach dowiedziałam się niestety za późno, bo w momencie, kiedy mój synek już powoli z tego szumu wyrastał. Tak jak i bujak, Szumisia zakupię w drugiej ciąży jak tylko zobaczę dwie kreski na teście.

8. Kubek do mycia głowy

Ten zakup wciąż przede mną, ale cały czas mam go z tyłu głowy. Szczególnie w chwilach, kiedy mój synek drze się jak dusza (nomen omen) nieczysta kiedy myjemy mu głowę. W najbliższym czasie na pewno zaoszczędzę mu tych ryków i zaopatrzę się w takie sprytne wiaderko z gumką. Prosta konstrukcja, ale jak rozsądnie przemyślana!

9. Nawilżacz powietrza

Już o nim pisałam w kontekście gadżetów wyjazdowych. Nadal podtrzymuję tezę, że jest absolutnie niezbędny. Dla niektórych być może tylko w sezonie grzewczym, dla nas przez cały rok. Nie wiem, kiedy odważę się go wyłączyć i sprawdzić, czy mój brzdąc nie obudzi się na picie jakieś dwadzieścia razy w ciągu

jednej nocy. Na dzień dzisiejszy i tak sezon grzewczy lada moment się właśnie zacznie, więc mam jeszcze kilka miesięcy na podjęcie decyzji.

10. Wanienka z odpływem i stojak

Nie lubicie się męczyć? Ja też nie lubię. Schylać się, dźwigać, szarpać. Całkiem niepotrzebne. Schylanie się zapewnia nam stojak, przydatny również w początkowym etapie życia maluszka, kiedy bardzo często, szczególnie mając małą łazienkę, kąpiemy go w pokoju lub innym pomieszczeniu. Odpływ natomiast zaczęłam doceniać w momencie kiedy wanienki na stałe zaczęliśmy używać pod prysznicem i wylanie z niej wody polega jedynie na wyciągnięciu korka. Genialne!

Mam nadzieję, że przekonałam Was do moich pomysłów. Teraz ja z chęcią dowiem się od Was jakie nieoczywiste gadżety uratowały Wam życie przy dziecku?

Podoba Ci się to, co napisałam? Daj mi koniecznie znać! Możesz to zrobić na kilka sposobów:

– Polub mój fanpage na Facebooku **KLIK**
– Polub ten konkretny wpis lub udostępnij go klikając na ikonkę Facebooka poniżej

– Napisz mi ciekawy komentarz pod wpisem tutaj lub na Facebooku

**Będę
Ci wdzięczna za każdy taki gest, bo dzięki niemu będę wiedziała, że moi
czytelnicy gdzieś tam są, czytają i podoba im się to, co piszę.
Dziękuję!!!**

Adaptacja w żłobku – tydzień pierwszy

Decyzja o wysłaniu dziecka do żłobka nigdy nie jest łatwa. To znaczy owszem, jest, ale tylko w momencie zapisania lub zarejestrowania tam tego

mikruska – noworodka, o którym tak naprawdę jeszcze nic nie wiemy. Im jest starszy, im więcej się o nim dowiadujemy, tym ciężej nam się pogodzić z myślą, że już niedługo nasze życie będzie musiało wrócić na dawne tory, ale z uwzględnieniem tego małego człowieczka, który przecież w 100% ufa tylko nam.

Ja tak naprawdę nie zdawałam sobie sprawy jak ciężki będzie to dla mnie okres, zanim nie rozpoczęłam z Ignasiem okresu adaptacji. Wiedziałam, że moje dziecko jest wrażliwe, że potrafi rozdzierająco płakać, ale nie spodziewałam się, że tak bardzo mnie to poruszy i zmęczy psychicznie. Autentycznie, przez cały pierwszy tydzień padałam z wyczerpania o godzinie 20:00 i spałam do rana, mimo że mój dzień nie był inny niż zwykle, mimo że nic takiego mnie teoretycznie nie zmęczyło.

Co więc takiego się wydarzyło?

Pierwszy dzień był łatwy. Siedziałam z moim synkiem na sali przez cały czas, patrzyłam jak ładnie bawi się z innymi dziećmi, miałam wręcz wrażenie, że kompletnie nie odnotowuje mojej obecności. Coraz ufniej podchodził do zabawek, patrzył się na dzieci, z łatwością odchodził ode mnie i zapominał się w zabawie. Pięknie zjadł obiad, po czym, pełna nadziei, wróciłam z nim do domu.

Drugiego dnia tak naprawdę nie planowałam, że wyjdę chociaż na chwilę, ale musiałam zejść porozmawiać z pielęgniarką, więc siłą rzeczy beztrosko zostawiłam moje bawiące się dziecko pod opieką cioć i spokojnie poszłam. Jakież było moje zdziwienie, kiedy mój radosny do tej pory synek po powrocie powitał mnie rzewnymi łzami i histerią! Od tej pory zauważyłam jak stopniowo coraz częściej sprawdzał wzrokiem moją obecność i zaznaczał swoje terytorium przychodząc się przytulić i przynosząc mi przeróżne zabawki.

Dzień trzeci i czwarty niestety nie wyglądały inaczej. Tym

razem celowo, po krótkiej chwili spędzonej razem, zostawiłam malucha na sali, czekając w szatni na rozwój wydarzeń. Obie te próby skończyły się porażką. Przerażone ciocie wołały mnie na pomoc, bo rozżalonego bąka nie dało się nijak uspokoić – ani noszeniem, ani przytulaniem na kolanku, ani zajmowaniem fajną zabawą. Miała być mama i już. Bez dyskusji. Za to w domu obserwowałam lawinowy wzrost okazywania uczuć. Moje dziecko, jak nigdy, zaczęło do mnie podchodzić tylko po to, żeby się przytulić, nadstawić się do buziaka, pokitosić się razem na kanapie. Trzy czwarte czasu, zamiast na zabawie, zaczął spędzać ze mną. A ja już zaczęłam tracić nadzieję na żłobek i wymyślać rozwiązania alternatywne.

Zdjęcie zamieszczone przez użytkownika Magdalena Rogala (@motheratorka.pl) *23 Wrz, 2015 o 1:56 PDT*

Ostatniego dnia jechałam tam czysto zdroworozsądkowo, bo nie chciałam wytrącić malucha z rytmu. Ale jechałam tam jak na ścięcie. Byłam w szoku, kiedy żłobkowa ciocia już w progu szatni wzięła Ignasia na ręce, a mi kazała się ulotnić. Nie wierzyłam własnym oczom, ale postanowiłam jej zaufać. Zostawiłam moje ryczące dziecko w jej rękach, licząc na to, że stanie się cud. I cud się stał. Kiedy wróciłam z duszą na ramieniu, synek oczywiście powitał mnie rozżalonym płaczem,

ale od pań dowiedziałam się, że nie było tak źle! Że nawet bawił się i śmiał! Że był zupełnie inny! Nie mogłam dostać lepszej wiadomości tuż przed weekendem. Jest światełko w tunelu i szansa, że mój wrażliwiec jakoś ten okres przetrwa i polubi miejsce, gdzie miłe ciocie śpiewają, pokazują zabawki, przytulą jak jest źle, a na koniec oddadzą w czułe ramiona mamusi.

Przeczytaj też:

zy rok żłobka – fakty i mity

Adaptacja w żłobku – tydzień drugi

Czym jest normalność?

Dziecko rośnie, poznaje świat, zwiększa swoją świadomość, buntuje się. Nastolatek chce wolności, samodzielności, niezależności, buntuje się. Dorosły kończy studia, zaczyna pracę, zakłada rodzinę, dowiaduje się jak wygląda życiowy znój i trud, buntuje się.

Na każdym etapie naszego życia w pewnym momencie mamy problem z zaakceptowaniem nowo zastanej rzeczywistości. Nie godzimy się na zmiany, chcemy, żeby **znowu** było *normalnie*, a potem nagle orientujemy się, że nie wiadomo kiedy już **jest** normalnie, że przywykliśmy, że zaakceptowaliśmy. I chwilę potem, całkiem jak w filmie „W głowie się nie mieści", nasze kolejne fundamenty upadają tylko po to, aby ich miejsce zastąpiły nowe. Dlaczego tak się dzieje?
Osobiście największy bunt przechodziłam nie jako dziecko i nie jako nastolatka, ale właśnie wkraczając w dorosłą samodzielność. Odkąd tylko zaczęłam dążyć do wyprowadzki od

rodziców, mówiłam sobie:
Jeszcze tylko chwila. Wytrzymaj. Za chwilę będzie normalnie.

Po zamieszkaniu na swoim nagle się zdziwiłam. No bo jak to, nie ma pieniędzy na narty co roku i letnie wakacje co roku? Musimy spłacać kredyt? Nie mogę sobie kupić wszystkich zachcianek, bo priorytetem jest utrzymanie domu i nas przy życiu?
To przejściowe, to się zmieni. Jeszcze będzie normalnie.

Na nartach nie byłam od ponad pięciu lat.
Chwilę potem urodził się nasz synek. Ledwo zaakceptowałam wszystkie te braki i ograniczenia, pogodziłam się z nimi, nie wiedzieć kiedy polubiłam ten stan, a tu nagle kolejna rewolucja na skalę tej francuskiej. Wszystko runęło, posypało się, poszło w przysłowiowy piździec. Trzeba się było od nowa uczyć rzeczywistości, nie bez buntu, nie bez pretensji do życia, nie bez żalu. I teraz znowu, nie wiedzieć kiedy, nauczyłam się tej rzeczywistości, przeprosiłam się z nią i zaprzyjaźniłam. I znowu czeka mnie zmiana, bo ja do pracy, a dziecko do żłobka. I znowu pewnie będę psioczyć, będę się złościć, będę chciała, żeby moja normalność wróciła. Aż w końcu zastanie mnie ta nowa. Też pewnie do czasu.
Czym więc jest normalność? Czy mamy ją w życiu jedną, niezmienną, niezastąpioną? Powoli dochodzę do wniosku, że tych normalności jest cała masa i tylko my sami musimy się nauczyć otwierać im drzwi i przyjmować pod swym dachem nie jak chwilowego gościa, lecz jak domownika. I każda kolejna zmiana uczy nas czegoś nowego, daje nam mądrość i doświadczenie. Tak to właśnie fajnie i rozsądnie zostało gdzieś przemyślane.

Odezwę się do Was przy następnej rewolucji. Zobaczymy, czy wtedy też będę taka mądra.

Podoba Ci się to, co napisałam? Daj mi koniecznie znać! Możesz to zrobić na kilka sposobów:

– Polub mój fanpage na Facebooku **KLIK**
– Polub ten konkretny wpis lub udostępnij go klikając na

ikonkę Facebooka poniżej
– Napisz mi ciekawy komentarz pod wpisem tutaj lub na Facebooku

**Będę
Ci wdzięczna za każdy taki gest, bo dzięki niemu będę wiedziała, że moi
czytelnicy gdzieś tam są, czytają i podoba im się to, co piszę.
Dziękuję!!!**

Mam tak samo jak Ty, czyli Blog Fest w moim mieście

Śledząc od jakiegoś czasu poczynania i zamiary Flowmummy i Bakusiowej z wielką podnietą

odnotowałam fakt, że dziewczyny knują coś bardzo fajnego. Knuły nie same, bo weszły w komitywę z Basią i Moniką ze Zrób to, no! oraz Emilką z Love2Work. Od razu wiedziałam, że słabo nie będzie, bo wszystkie organizatorki już od dawna są jakością samą w sobie.

Co mnie jednak zawiodło – na pierwszy rzut poszedł Wrocław. Patrzyłam,
liczyłam, kilometry, bilety, hotele – żadną siłą nie dało rady. Kiedy
pojawiła się Warszawa myślałam, że zabraknie mi na ten cel środków, ale w
ostatniej chwili wyskrobałam zaskórniaki i jest! Jadę!

dziękuję

Jak było?

Było **FEST**! Nazwa warsztatów nie wzięła się znikąd i odpowiada temu, co się na nich dzieje.
Po pierwsze, szanowne prowadzące zarażają pozytywną energią, motywacją i chęcią do działania i do zmian. U mnie trafiły wobec tego na bardzo podatny grunt.
Po drugie, atmosfera była niesamowita, bo żadna z prezentacji nie była suchym wykładem, ale otwartym dialogiem i przyjacielską rozmową.
Po trzecie, otrzymałam solidnego kopa do działania wymierzonego mi po kolei przez każde słowo dziewczyn, które było świadectwem tego, że to, co robię ma sens.

Dlaczego warto uczestniczyć w Blog Fest?

Blog Fest to spotkanie dla osób, które myślą o założeniu bloga lub prowadzą go od niedawna. I bardzo dobrze, bo olbrzymia polska blogosfera nie bierze pod uwagę początkujących żuczków. A to duży błąd, bo drzemie w nas niewyobrażalna siła! Mam

nadzieję, że pojawią się kolejne edycje w innych miastach, żeby mogło z nich skorzystać jak najwięcej osób.
Blog Fest to również miejsce rozmów, wymiany opinii, miejsce gdzie nikt Cię nie ocenia, tylko daje Ci wiarę we własne możliwości.
Nie ma jednego, gotowego przepisu na blogowy sukces i historie organizatorek potwierdzają tę tezę. Na Blog Fest warto wybrać się nie po to, żeby dostać jedną, gotową receptę. Blog Fest to zalecenia dobrego lekarza z powołaniem, który mówi Ci, co dla Ciebie dobre. A potem już tylko od Ciebie zależy, czy do tych zaleceń się zastosujesz.
Ja zamierzam!

dzień
DOBRY
Kantorek Katjuszki

BLOGFEST
BLOGFEST
Kantorek Katjuszki

Autorką zdjęcia tytułowego i czterech ostatnich jest przesympatyczna Kasia z bloga Kantorek Katjuszki.

Podoba Ci się to, co napisałam? Daj mi koniecznie znać! Możesz to zrobić na kilka sposobów:

– Polub mój fanpage na Facebooku **KLIK**
– Polub ten konkretny wpis lub udostępnij go klikając na ikonkę Facebooka poniżej
– Napisz mi ciekawy komentarz pod wpisem tutaj lub na Facebooku

Będę Ci wdzięczna za każdy taki gest, bo dzięki niemu będę wiedziała, że moi czytelnicy gdzieś tam są, czytają i podoba im się to, co piszę.
Dziękuję!!!